

Juliusz Kaden-Bandrowski



Generał
★★★
Barcz

Juliusz Kaden-Bandrowski

Generał Barcz

Powieść

WYDANIE DRUGIE

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2018

Juliusz Kaden-Bandrowski
„Generał Barcz”

Copyright © by Juliusz Kaden-Bandrowski, 1930
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy
Projekt okładki: Adam Brychcy
Druk: Drukarnia Zakładu Narodowego im. Ossolińskich
Wydawnictwo: Wydawnictwo Zakładu Narodowego im.
Ossolińskich
Lwów, 1930

ISBN: 978-83-8119-488-4

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

I

JAKIE DROŹDŻE?

— Świat będzie rozprawiał, wołał, cnoty lepił, występki mianował, zaraz to za nim powtórzę, nawet mu pomogę, sam może nawet jedną prawdą zostanę?

Oczyli nagle Rasińskiego ów świat dzisiejszy, głodny, zgruchotany, na pół rozpęknięty. Jak się szarpie i walczy, on zaś, Rasiński, trwa w dwu małych pokojach oficyny, z ciszą książki pod nosem, z światłem elektrycznym pod ręką, z biurkiem u okna i z prostym przykazaniem dwu małżeńskich łóżek, wystawionem na pokój.

Od krwawej sprawy człowieka sparciąłym się już czuł Rasiński i pustym. Przychodziło mu na myśl, czyby teraz nie najlepiej było pobyć w utęsknionem cieple? Być w cieple i patrzeć na świat oczyma, które się już nauczyły wiedzy życia i będą twardsze, niż lana guma...

Bo przecie są granice i ten worek człowieczy, w którym się wszystko odbywa, ma także swoje prawa! Biedne malutkie prawa sznurka, sprzętu, guzika, pudełka zapalek.

Świat może sobie umierać, a drudzy pójda szukać węgla — przełożył sobie lekceważąco. — A gdy chociażby na czworakach przyniesiesz czarny kopczyk... Do swojej piwnicy... Do tego malutkiego grobu, który każdy mieszkaniec pod sobą ma... Gdy to zwieziesz i zamkniesz na drogą, najpodstępniejszą kłódkę, wtedy będziesz mógł biegać znowu po wszystkich rynkach i opłacać sobie najprawdziwsze poświęcenia!

Przystanął na rogu plant pod czarnem żyłowaniem gałęzi.

Tak było, — nieinaczej. Ze sławy uciwanej na marginesach wielkiego boju świata, nic więcej nie zostało — prócz troski o chleb, o brzuch chory i skórę wyleniałą: O ciepło biednych resztek.

Wiatr płynął koronami starych kasztanów, pędząc z nich kruche liście. Biegły za ludźmi aż na ulice.

I jak w tym wietrze strzępią się liście, pogania piach a proch się kołem unosi — myślał Rasiński — tak z człowieka treść uchodzi, słowa się strzępią...

Teraz po prośbie za tym węglem do samego pana burmistrza.

Rasiński — redaktor, żołnierz, pisarz, muzyk, co parę lat temu w murach tego samego magistratu eskapadę legjonową inaugurował.

Burmistrz — „nie był w stanie”.

Rasiński obwieścił swoje nazwisko. Wykaligrafował je w tykającej ciszy salonu przedmiotowym głosem, aby nie było omyłki. — Nazwisku temu za tyle wojennego hałasu i krwi należałaby się chyba szczypta węgla.

Nie był to dział burmistrza.

Inne schody, inne skrzydło, inny korytarz i tam dopiero drzwi, — rzymskie pięć.

Przemierzywszy mnóstwo stopni, minąwszy wielu ludzi, którzy z czworogrannym papierkiem w spoconych dłoniach bładzili pilnie, trafił nakoniec Rasiński przed poszukiwane balaski, zastawione tłumem skulonych pleców.

Przebijże się tu człowieku przez tyle pośladków do samej władzy!

Więc znów na lirycznym przydechu wygłosił, kim jest.

Tem bardziej, że gładko zaczesany rozdawca za balaskami, miał taki sam żelazny krzyż w klapie surduta.

Krzyżyk bojów, uporów, warjactw i spisków Pierwszej Brygady polskiej.

— Jestem Rasiński.

Kilka osób odwróciło się z zaciekawieniem. On zaś, aby się sława na wszelki wypadek miała czem podeprzeć, dodał po chwili: — Wracam od pana burmistrza.

Przełamali się cienką, nakrapianą kartką. Urzędnik puknął ołówkiem w grubą księgę.

— Pan Rasiński. No tośmy razem gdzieś chyba musieli być na froncie?

Obmacali się oczyma, w których, niby ciemne pasma, mijały długie wspomnienia, rozrzucone na przestrzeni tyłu pożarów, zniszczeń, gruzów i niedoli.

— Pan pod Barczem — westchnął urzędnik — bliżej samego ołtarza. Ale ja też...

Wymienił z namaszczaniem jakąś jednostkę bojową.

— Barcz, panie Rasiński, to był wódz, jakby się kto pytał, co?

— Może jest jeszcze?...

Zespoleni poczuciem wspólnego kultu radośnie spojrzeli na siebie. Wkońcu urzędnik, rozwarłszy grubą księgę, począł szukać.

Cisza zaległa. Słychać było z głębi biura głos drugiego manipulanta, który nad olbrzymią kratką stronicy wymieniał nazwiska zabitych, należących do zapasowego bataljonu miasta.

Podręczna maszynistka w miarę dyktanda przemazywała ich na maszynie. Oboje pracowali statecznie. Ona sypała szybko

krągłe jajeczka liter, on zaś, skubiąc cierpliwie wargi, jakgdyby palcami wyjmował sobie z ust imiona poległych i podobne do malutkich atramentowych szkieletów, wciągał na karty księgi.

Formalności gotowe, — do magazynów!

Obstawione były wojskiem, bo przed rampami i przy parkanach już od tygodni mąciła się tu pstra, rozgoryczona szumowina miejska. Co parę kroków sterczeli austriacy szturmowcy. Biło od nich tęgim smrodem broni i kukurydzianego chleba.

Rasiński minął ich delikatnie, dążąc ku bocznym zardzewiałym torom.

Stały tam szeregi wagonów, z których sypał się węgiel. Czarne ułamki spadały na szyny, prósząc dokoła złotą rosą miazgi.

Tu już rzucić trzeba było wszelką pychę z serca. Tu już nanie nazwisko — i żadnych procentów zasługi. Więc przypoehlebne dowcipy, pieniądze, chwytkie macanie niechętnych bluz robotniczych.

Aż nareszcie udało się Rasińskiemu zwyciężyć.

Obiegając czujnym wzrokiem każdą zmarszczkę czar-no-rudej toni, zamkniętej brzegami wózka, kroczył lekko chodnikiem, podczas, gdy „jego ludzie” pchali garbaty skarb środkiem ulicy.

W domu wielka radość z tego triumfu. Chyba ściany pęcznieją, wytknięte na pokój łóżka powleka biel odświętna, każda szafa błyszczy obcisłym wątkiem politory.

— Zdawałoby się, że już nic nie znaczymy, że już nas niema — opowiadał żonie przy obiedzie — a tymczasem nieprawda.

Niewiele to, bo niewiele, ale zawsze. Burmistrz mówi nie tu, — rzymskie pięć. I tam właśnie ten urzędnik... Też z pod Barcza ongiś. I będziemy mieli ciepło. Niedużo to coprawda, jak na śpiących rycerzy, ale zawsze.

Po południu przed oknem, wychodzącym na mały kwadrat ogrodu, wziął się Rasiński do pracy. Dziś wieczór miał już ostatecznie złożyć swą powieść wydawcy.

Pomiędzy suchemi badyłami podwórza zawodził cicho wiatr. Małe czerwone listki padały jeszcze z gałązek, — wysoko zaś nad przeciwległym murem płynęło niebo szare i śpieszne. Niespodzianie mur zadrżał jakoby, — w zimnej szczelinie cegieł zrodzony strzępek biały odczepił się, — zsunął. I oto z drugim, dwudziestym, setnym wybierał już wątlą swą drogę w nieskończonym rozmiarze powietrza.

— Śnieg — ucieszyła się żona.

Rasiński przekładał stronice, pokryte pisanym truchtem wielu dni i miesięcy.

— Bo widzisz — odpowiedział żonie bez związku — trzeba, aby się w naszej literaturze skończyła raz ta polska laska liryczna. Ten rzewny bełkot przez łzy. I dotykanie przez bibułkę i gadanie przez watę. Masz coś do powiedzenia, człowieku — kładź odrazu wszystkie flaki, wszystkie kiszki.

Wiedział że to było więcej, niż flaki i kiszki. Snuła mu się przez te kartki najdroższa postać żony, z której tu oddał wszystko. Każde zgięcie smagłego ciała, zapach i smak wszystkich pocałunków i wszystkie najskrytsze podejścia i włosy, i piersi, i nogi, i usta, i serce, które w środku dzwoni.

Mrok zapadał coraz gęstszy. Pierwszy śnieg zaścielił małe skrawki ogrodu. Prostokątny blask któregoś okna, rozpostarty

w pośrodku podwórka, zgasł nagle.

— Czy jesteś tu? — spytał przestraszony Rasiński.

Pochyliła się, zaglądając mu w oczy.

Ujrzał nad sobą jej twarz. — Jakby jaśniejszy wyimek cienia, określony potrójnym łukiem brwi, nozdrzy i ust.

— A jeżeli to jest nic? — spytał, kładąc ręce na skrypcie. — To co?...

Harmonja ciemnych łuków rozwinęła się, pod spięciem brwi przeleciał nagły blask spojrzenia.

— To jeszcze zawsze jest to twoje nic.

Po tych słowach, wydanych śpiewnie, usta jej pozostały otwarte, jakby zaraz w mrok miała z nich tchnąć mnogość nieprzewidzianej nowizny.

Rasiński uśmiechnął się pobłaźliwie i długo całował skronie żony, ramiona, ręce.

Umówili się, że się spotkają wieczorem, albo w kawiarni, albo na plantach.

Z teką pod pachą wyszedł na swą rundę codzienną.

Obejść wszystkie umówione gniazda spiskowe.

Robili już te spiski oni, starzy oficerowie legjonowych brygad, wrogowie Austrii, wrogowie umowy z Niemcami, — nałogowo, — jak się stawia pasjans. Dawali sobie rozkazy, spełniali je, wyznaczali nowe miejsca zbiórki...

Po całym Krakowie.

Dziś u adwokata na Szewskiej, potem na Florjańskiej, potem na Małym Rynku.

Zdawali sprawę o uczynionych postępach konspiracji w Królestwie, na wschodzie, na zachodzie, na Ukrainie. Nazwy

dalekich miast, planów fortecznych, dyslokacyj, tajemniczych komend, meły się drobnym pośpiesznym trybem, jak w młynku.

Przytem zbierało się mnóstwo dowodów, obciążających rządy zaborcze. Musiało się umieć wyliczać całe litanje krzywd. Popalone wsie, pogwałcone przez Prusaków dziewczki, porwanych na przymusowe roboty chłopów. Straszne „menu” uwięzionych w Szczypiórnie legjonistów. Spamiętać wyrwane kable, skradzione tramwaje, zalane kopalnie. Tragedje polskich korpusów wschodnich.

Bezliku tego było.

Rasiński codzień uczył się tej kalwarji w biurze, na Florjańskiej, pod perkalową spódniczką abażura.

Dziś jednak nie potrzebował wstępować na górę, spotkali się bowiem z Pyciem, głównym dyrektorem całej tej, cynicznie zwanej agencji „Pies” na schodach.

— No, to mi wszystko powiesz — ucieszył się Rasiński. — I będę wiedział poprostu, bez żadnych obrzędów.

— Ale co? — Pyć stał we framudze, tak, że światło naftowej lampki ślizgało się po wierzchu jego wyszarzałej postaci, jakby plasterkiem połyskliwym czepiając się nosa i bladych policzków. Cała reszta osoby wytarta, wyświechtana, łatana brudną kratką odzieży, pod przykryciem podróżnej dżokejki ginęła w cieniu.

— JAKO co? Przedewszystkiem twoje zdrowie?... Rasiński — nawiązywał do wątroby Pycia, przestrelonej na froncie, potem szczęśliwie otorbionej, lecz zawsze śmiercią grożącej.

Pyć mlasnął chudemi szczękami.

— Twoje zdrowie. Następnie — telegrafistki, siostry,

dowództwo twierdzy, konfidencja...

Wtajemniczeni bowiem wiedzieli, że Pyć rył w każdym zakamarku wielkiej maszyny austriackiej. Ze sobą powydłubywał niezawodne urzędniczek na pocztę. Ze cudzołożył pożytecznie z najważniejszymi siostrami w oddziałach analizy szpitalnej. Ze na stare guziki, czy sznurki munduru legjonowego zaprzysięgał ekspertów zakładu psychiatrycznego, że go łączyły związki braterstwa z jakimiś opiekłymi kolejarzami.

— Konfidencja pracuje — mlasnął Pyć.

— No więc gadaj — gadaj do cholery. O „sprawie”, o „ojczyźnie”!

— O której?... O twojej, o mojej, o Dąbrowy, o Krywulta?

Zielone oczy Pycia zasnuł senny tok znużenia. — Wnet będziemy mieli sto ojczyzn... Zaraz wkrótce zrobi się jedna ludowa na prowincji. Druga wojskowa lęgnie się tutaj pod kosmatą pierśią jedyne go na placu pułkownika, Dąbrowy. Trzecia gdzieś między Radziwiłłowem a Przemyślem, w postaci naszego Barcza...

— A sam Barcz?

— Powinienby się przedrzeć. Czekamy... Czwarta ojczyzna kokosi się w tłustych kłębach wodza wschodnich, rozbitych korpusów, boskiego Krywulta. Gdzieś na kresach... Piąta w Warszawie! Dodaj do tego byłe koła Sejmu Krajowego, wszystkie kawiarnie, wszystkie bajzle.

— Co ty mi tu, Pyć, gadasz stare rzeczy?

— To już wszystko! Nic nowego. Chyba jeszcze w kawiarni dowiemy się.

Poszli do hotelowej kawiarni, gdzie mieli stały stół.

Rasińskiemu było to na rękę, tam bowiem powinien się być spotkać ze swym wydawcą Kwaskiewiczem.

— Idę duszę sprzedawać — śmiał się po drodze do Pycia.

— To już nikomu nie imponuje.

W kawiarni nad grzędami starych ciastek, pod szeregiem różnobarwnych wódek, wśród płaszców, niby czarna zwierzyna przytroczonych do ścian, kręciły się tłumy publiczności.

W drugiej sali, poświęconej bywalcom, odnalazł Pyć stolik znajomych.

— Zdaleka możesz zawsze poznać naszych ludzi. Popatrz. Łeb przy łbie, — konspiracja.

Siedzieli tam, jak codzień, — zaprasowany starannie dyrektor banku Jabłoński, pułkownik Dąbrowa w swej czamarze powstańczo-duchownej, poseł Rybnicki w czarnym surducie ośmiogodzinnych przemówień socjalistycznych.

Zboku, skromnie, między kilku głowaczami grubo ciosanych adherentów Dąbrowy, budował się rozmową wydawca Kwaskiewicz, opromieniony aureolą długich siwych, misyjnych niejako włosów.

— No — pstryknął Pyć, gdy usiedli. — Co nowego?

— Nic nowego — podchwycił Jabłoński, wyciągając dobitnie poszczególne słowa. — Tylko właśnie tłumaczę, po raz który w życiu ja to tłumaczę już! Że to nie żadna Polska winna, ani nasz charakter narodowy — tylko warunki. Niemiec był dobrym żołnierzem, bo go brali za mordę. To samo Francuz, Anglik — i każdy. A u nas? Jak długo nie będzie solidnego aparatu, biorącego, proszę pana, wszystkich obywateli ściśle za mordę...

Pułkownik Dąbrowa przemierzył dyrektora skrytem

spojrzeniem, następnie wyrzuciwszy z kosmatych dziurek nosa na wąsy przytyk pogardliwie pchniętego powietrza:

— Bo co mamy?... Jeśli chodzi o osoby, o indywidualności (zaliczam siebie też do tego towarzystwa) — nic nie mamy. Niby w mojej branży kto? Barcz? Wiem, myślicie wszyscy o Barczu... Gdzie go macie? Płuży tam gdzieś światami. Krywult? Za wielki pan! Żaden z tamtych krywultowskich drabów nie stoi na czele mięsa i krwi ludu. Więc jeżeli nie o blade mowa, nie o drożdżach, że gdzieś tam założone, kiedyś korek wysadzą... Jeżeli szczerze mówimy, tak prosto — kawa na ława... Niby, jakie drożdże? My, — inteligencja? Za mało. Robotnik?...

Dąbrowa podał się niedowierzająco naprzód, jakby coś obwąchiwał. — Chłopi?... — Twarz pułkownika wyrównała się zupełnie. Spojrzenie zawinęło wysoko pod zmiętą powiekę, a z rozszerzonych ust wywalił się na stół i na całe towarzystwo rubaszny śmiech.

— I to wszystko w kupie, ma zdaniem Jabłońskiego, stanowić aparat brania za mordę. Być ojczyzną. Jabym jeszcze rozumiał — Dąbrowa zwrócił się do Rybnickiego — żebyście mi pokazali pośle: To krzesło, kanapa, czy też jakaś wielka dziewczucha... I po dawnemu, to jest ojczyzna, — powiedzcie! Żebym to widział na oczy. Ta dziewczucha jest twoją ojczyzną, a ty jako pułkownik jesteś włosem na łydce tej dziewczuchy, a szeregowiec jest naprzykład molekułą. Ale nie widzę tej dziewczuchy narazie!

Jego ogromne śniade ręce wyskoczyły nad stół łapczywymi chwytami, jakoby już szukając okrągłej namacalności.

— Zresztą gdybym nawet zobaczył, — to nie wiem, czy spodobałaby mi się ta — ojczyzna?! Za dużośmy przeszli, żeby nam to dziś wystarczyć mogło.

Spostrzegł, że mówi za wiele. Że się w niego wpatrują. Przestał, tem bardziej, że domówił się był już prawie do swojej prawdy. Już teraz, — tylko ta czarna masa. Nie robotniki, nie chłopcy, nie pany. Masa: pot i gniew... Nie aparat do trzymania za pysk, tylko dwa słowa: równość sprawiedliwość... Czyli odwet!!

Towarzystwo oczu z niego nie spuszczało, aż mieszać się zaczął. Bo z tymi demokratami nigdy nie wiesz, co ci wypominają. W czym zawiniłeś?... Że co?

Że nie od kolebki z nimi chadzasz razem? Że „na księdza” się szło? Że z diakona dopiero zawróciło?... Że niby potem do mleczarstw... I w spółkach propaganda za polską rasą bydła. Za czerwoną... Też przecie — rewolucja...

Wszystko mu naraz przeskoczyło przez myśl. Żona, pięcioro dzieci, pięć pokoi i że się pułkownika w legjonach dochrapał i ta bieda teraz.

Długi łeb Rybnickiego świecił mu nieruchomo nad nosem.

— No więc co? — spytał głośno Dąbrowa.

Wielkie, gładkie płaszczyzny twarzy Rybnickiego poległy na sobie wzajem grą łagodnego światłocienia.

Poseł zaczął powoli.

Był w tem odważony słusznie gniew i głód robotników borysławskich. A przecie, jeśli Borysław stanie... To nasza nafta, nasze smary w niemieckich łodziach podwodnych wiercą ocean. Był w tem upór, jaki każdej chwili okazać mogą kolejarze, a przecie cała część frontu i wszystko zboże ukraińskie zależy od tej kolei. Był w tem wreszcie ten „drożdż” polski, który dzięki rozwiązaniu legjonów rozdyma już wszystkie polskie dywizje

Austrji...

Sytuacja w zaborze niemieckim... O Królestwie już nie mówiąc...

— Zaś co do postaci, osób? Was nie dotykam, bo o obecnych nie mówi się. Ale, pułkowniku, naprzykład Barcz. Płuży światami, powiadacie. Przedewszystkiem nie trzeba zapominać, bo już dwa lata minęło i rzeczy te zapomina się. Nie trzeba zapominać, kto to jest Barcz! Nie taka znowu u nas częsta, czy tania figura. Barcz — to żelazna ręka, to podporządkowanie drugich i siebie potężnej świadomej woli.

Dąbrowa ofukał te pochwały krótkimi prztykami: — Teraz żelazne ręce?! — hehe... Całe żelazo świata, panowie, po czterech latach wojny do czego doprowadza? Do czego doprowadza człowieka żelazo?! Teraz potrzeba serca, — serca.

Wtedy Rasiński, w obronie ukochanego wodza przypomniał pewien miły szczegół, niejako na dowód, że jeżeli o serce chodzi...

Było to gdzieś w bojach na Podhalu. Stali na plebanji. I tam właśnie podczas przerwy w bitwie Barcz grał, — nic, jakąś piosenkę włoską. Naturalnie stare pianino, — naturalnie żaden wirtuoz. Ale trzeba było widzieć wyraz tej twarzy tak drogiej, udręczonej. Jakby sama szarówka grała.

Rybnicki podchwycił to rozumniej i syntentyczniej.

— Mówicie, pułkowniku, — Barcz gdzieś tam pluży... Ale w tem plużeniu leży sto lat pielgrzymiej tradycji naszej...

O tradycji najboleśniej dotknęło Dąbrowę. Sam był teraz na placu, jeden jedyny na tę niewypieczoną jeszcze ojczyznę zachowany, żywy, krzyżem mogiły bohaterskiej, chwalić Boga,

nie pożegnany pułkownik, — a tu mu znowu pod nogi coś kładą. I co? Mgłę, chmurę, piankę, — tradycję...

Dąbrowa rozejrzał się po zadymionej sali i zamilkł nagle.

Oto zaraz na prawo pod piecem, głaszcząc się po czarnych, sukiennych żywotach, siedzieli ojcowie miasta, z którymi miał już Dąbrowa „swoje porozumienie”. Od tygodnia. Będzie z prawymi, będzie z lewymi, — a przez ten czas czarna masa, — krew, pot i gniew, — wygotują nową tradycję.

Kwaskiewicz wstał razem z Rasińskim, mieli interesy do omówienia.

— Z tego, cośmy teraz słyszeli, widać — twierdził wydawca, wypijając szklankę jajek tak skwapliwie, że aż mu się żółtko za paznogie dostało — rewolucję. Ale zobaczycie, że się całkiem inne zagadnienia wyłonią i na całkiem innych płaszczyznach, niż sobie to wyobrażacie...

Położywszy glansowaną tekę na stole, uderzył w nią Rasiński oburącz.

— Pan chce, żebym to wydał? Mogę przytoczyć odrazu cały szereg nazwisk — ssał Kwaskiewicz wąskie swe paznogie — których nie wydaję, choć zasługują.

— No więc, krótko, panie Kwaskiewicz, ile pan daje?

— Ile? Dziesięć procent.

— Nie.

— Piętnaście procent — rzekły mięsiste, kosmate wargi.

— Dwadzieścia — odpowiedział Rasiński. — Fala bezwstydnego wdzięczności zalała mu piersi.

— Piętnaście procent ceny katalogowej — moje ostatnie słowo.

Podali sobie ręce. Rasiński obłudnie rozszerzył ramiona. Uściskali się nie patrząc sobie w oczy, lecz gdzieś w bok, na rzędy różnokolorowych soków bufetu.

Na plantach, przy umówionej drodze, spotkał Rasiński żonę.

— Cieszę się — mówił — że to pójdzie między ludzi. Oczywiście, cieszę się niepotrzebnie, bo któż wie, jak to chodzi, czy gdzie doszło i trafiło?

Dążyli plantami, naprzeciw wiatru, mijając cienie drzew, które przekreślały drogę w wielu kierunkach.

Objął żonę przez całe plecy, z dłonią przyległą do jej biodra.

Szli coraz prędzej wskroś suchych liści, które ze wszystkich stron nocy spadały nieustannie w wąski obręb alei.

Zaczęli liczyć — te mnogie orzeszki, które za owych piętnaście procent będzie można znieść „na zimę do dziupli”... Pod korzenie, do własnego, ciepłego kretowiska.

— I powiedz — cieszył się sentymentalnie Rasiński — tak się człowiek miota, wysprzedaje, z drogi ludziom ustępuje, rowami tylko chadza, na boku, na marginesie. Krajuszkciem tylko... I wszystko z siebie bez wstydu supła — żeby co?

— Jakto żeby co?

Odpowiadała długo, lecz nie wnikał, co mówi, tylko się sycił jej głosem, ulatującym promieniami chłodu w ogromną noc jesienną. Tylko głębiej zakładał rękę pod ramię, jakby w ciepłe jej ciało, w odrzutach bioder, w czystych powiewach mowy spoczywała jedyna reszta ze wszystkiego, co już odeszło...

II.

RADOŚĆ Z ODZYSKANEGO ŚMIETNIKA!

Sprzedawszy powieść, przykładał się Rasiński pilniej do redakcyjnej pracy.

Ale mu nie szło! Nie mógł się pomieścić ze swym wielkim pstrym językiem w oschłych ramach codziennego pisma.

Postanowił jednak mimo wszystko nie wstydzić się i razem z innymi „wynosić kubły”...

Polegało to na rozlicznym tłumaczeniu z zagranicznych pism ważniejszych wydarzeń i objawień.

Zresztą wszystkie te objawienia?! Uważał, że niemasz słowa, ani okrzyku, ani wyrazu, któryby zdołał odtworzyć to, co się dzieje!

Już pryskała żelazna obręcz państw. Front się łamał... Miały nadejść niesłychane burze sprawiedliwości!

To już odbywało się tam na zachodzie, — w mlaskaniu tanków, w ryku bębniącego ognia.

Tylko my tutaj, krzywdy sobie pocichu na sznurki od gaci motamy.

„Wynoszenie kubłów” było dalszym ciągiem teorii kretowiska... Śniadanko ubogie w mroku porannym, krótkich parę kroków przez miasto i oto już krzeselko i pióro, i nożyczki, i oto z sepleniących płacht obcego dziennika ciułasz dla swych czytelników sensację.

Znużony odłożył pióro i słuchał.

Redakcja trzęsła się od potężnych uderzeń maszyny rotacyjnej. Jej głos równomierny, niby tętno gęstej krwi, bił we wszystkie piętra, huczał w ścianach, zdawał się pulsować w jubileuszowych fotografjach wszystkich leaderów partyjnych, zapatrzonych retuszowanemi oczyma w lepszą przyszłość.

Nagle szarpnęły się drzwi, tupot przeleciał korytarzem.

— Cóż ty idjoto piszesz — wołał znajomy głos — rewolucję mamy, Polska nastąpiła, a ten idjota pisze!

Rasiński zerwał się na równe nogi.

W drzwiach stał Jabłoński.

— Gdzie rewolucja?...

— Tu, na ulicy, już!! Posłowie obejmują koszary, psy latają po mieście z verdienstkreuzami pod ogonem, pułkownicy austriacy płaczą, zaraz będzie zmiana odwachu!

Głos dyrektora stawał się coraz potężniejszy.

Rasiński patrzył na Jabłońskiego badawczo.

Dyrektor banku stał tu, w drzwiach ludowego pisma, odziany w granatowe zamożne palto, z iskrami czystości na szpicach drogiego obuwia. Gęba mu się darła, żółty rozdział, przez środek głowy wytyczony, podrywał się nieomal do lotu.

— Czego chcecie, dyrektorze, ode mnie? — krzyknął Rasiński.

Jabłoński uspokoił się już.

— Chcę — mówił cicho, jakby komuś należytość wypominał — żeby to nie przepadło. To musi ktoś widzieć — widzieć — widzieć...

Jął szybko wytrząsać ostatnie wiadomości przed redaktorem.

— To musi ktoś widzieć, kto ma oczy do patrzenia. Trzeba dla dzieci to zachować — dla naszych wnuków.

— Ja mam być takim właśnie akuszerem pięknej legendy? — śmiał się Rasiński, zbierając równocześnie drobiazgi rozrzucone po stole.

Papierośnica, zegarek, ołówek — upychał to po kieszeniach mocno, stanowczo, jakby cały okres życia miał się tam dać

upchać bezpowrotnie.

Tymczasem w redakcji zjawiali się coraz tłumniej jacyś ludzie i nieproszeni, nie pytani krążyli między stołami wśród kup papieru. Naprzeciw, w zecerniach pootwierano okna. Ucichło głośne cmokanie składanych liter, linotyp przestał szczeakać.

Na parapetach okiennych, niby sine półfigury tarcz strzelniczych, ukazały się niebieskie fartuchy, wieńczone białymi twarzami zecerów.

Wtem od bramy przez podwórze wtargnął splątany ostry jazgot, a za nim chlusnął tłum.

Drzwi redakcji trzasły naóścież, wzburzony tumult chustek, szmat, strzępów wypełnił wszystkie kąty.

— Magistrat! Magistrat! Magistrat! Byłyśmy w magistracie!!!...

Nikt nie wiedział, o co tym kobietom chodzi.

Właśnie redaktor osiadł na grubych nogach, właśnie mowę miał rozpocząć, — gdy Rasiński z Jabłońskim wyszli z redakcji.

Na Rynek.

Po obu stronach Sukiennic tłumy się przewalały. Światło dnia jesiennego sprawiało, że cienka polewa blasku przydawała ludziom wyrazistej ostrości.

Tak twardo widać było każdą głowę, każdy kamyk, jakby tych twarzy i kamyków, murów i okien starczyć miało na całe wieki. Ciche powietrze ostatnich dni października obejmowało rozgwar ludzki, układając wokół głosów wzburzonych ścisłą czujność chłodu i powagi.

Przed kratami odwachu ciżba sobie po piętach dreptała.

— Niech i nam drepczą — pchał się naprzód Jabłoński —

niech i nam drepczą po wszystkich nagniotkach. Warto! Warto!... Ty zawsze byłeś pędziwiatrem, więc nie wiesz. Ale ja prócz tych kilku lat, com się z wami legunami wachał, byłem porządnym człowiekiem...

Z tłumu wyrwał się krzyk potężny. Żołnierze ze strychów odwachu spuszczaali nadół, aż na sztachety, biało-amarantową flagę.

— To tylko porządny człowiek wie — krzyczał Jabłoński — co to znaczy na tym odwachu austriackim taki kolor!

Wargi mu znikły pod Inianym wąsem, golona broda krętymi zmarszczkami wspięła się aż pod nos, a z dużych oczu orzechowych zaczęły kapać na dostatni granat palta wielkie łzy.

Rasiński objął dyrektora mocno przez pól.

Musieli się cofnąć, środkiem gościńca bowiem, od strony kamienia Kościuszki, nawskos ku odwachowi prosił już gęsty ciąg pauprów, gnany z głębi Rynku wielkimi rytmami orkiestry.

Jabłoński rozpaczał, że właśnie w takiej chwili zaczyna padać kapuśniak.

— Nie bądź znów takim artystą, nie chciej jakichś osobliwych wykończeń.

— Artystą?... Dziś składam cały bank, melduję się zpowrotem na audytora...

— U Dąbrowy?

— U Dąbrowy — twierdził stanowczo Jabłoński. — U Dąbrowy, u osła, pnia, wszystko mi jedno, polskiej władzy się melduję...

Ucichli.

Nad brukiem pękały krągłe akordy orkiestry, a dalej wśród szarego tłumu, niby żelazna brona wśród grudy ruchliwej,

ciągnęła kompanja piechurów austriackich, pomieszanych z legjonistami.

Szli mocno, gęby uśmiechnięte wystawiając na wrzask radości, tupiąc donośnie gwoździemi podszew, które gładzili w nieobjętym trudzie na kamieniu wszystkich Alp, różnej Ukrainy, wszelakiego Podola i każdej drogi polskiej.

Rozległy się komendy, niepewnie przez oficerów polskiem słowem łatanę. Nakoniec z orkiestry buchnął hymn taneczny. Tłum przedarł się przez kompanje, wynosząc wgórze na kraty odwachu piechura, który do narodowej flagi wpiął białego orła.

Krzyk rozlał się po ciżbie i, niby przedziwne ognisko, wbrew ciągnęmu mżeniu ostrego kapuśniaczka, trwał niezmiennie.

— Idę się meldować — rzekł Jabłoński, gdy się wydostali z tłumu. — Przystanę na audytora i będę was sądzić, gałgany. Aparat brania za pysk, mój Boże, będziemy mieli własne namordniki!

Pułkownik Dąbrowa urzędował opodał w domu dawnego burmistrza „Pod obrazem Matki Boskiej”, gdzie się co roku odbywa ostatnia stacja procesji Bożego Ciała.

Rasiński zatrzymał się na samym progu pokoju, rozumiejąc odrazu, że nie czas na rozmowę.

W wielkiej sali siedział przy biurku Dąbrowa. Sztywny, obcasami wbity w podłogę. W głębi półkolem młodzi oficerowie austriackiej służby, przeginający się przy „spocznij” z pośladka na pośladek.

Dąbrowa przenikał srogimi oczyma swych nowych podwładnych.

Magazyny, forty, składy amunicji, warty, służby, zmiany, —

zaginał to wciąż na palcach.

— Co to za cywil — ryknął nagle, spostrzegając Rasińskiego — ja tu oficerów potrzebuję! Rasiński! Przebrać się i wrócić!

Rozkazywał już bezustanku sześć godzin.

Szło.

Rozkazane rzeczy działały się posłusznie. Jeszcze nic ani w powietrze nie wyleciało, ani się nie zawaliło.

Władza.

Słowo to, niby blask płynęło pod przymkniętymi powiekami, czepiało się palców, lepiło do wszystkiego.

A dalej?...

Niewiadomo — narazie gniew władzy — od rana wymyślał spiskowcom, że się spóźnili.

W istocie rzeczy nikt się nie spóźnił. Jedni za długo gotowali się, innym się zanadto śpieszyło. I z tego właśnie wynikła ta dziejowa dorożka, ozdobiona dwoma majorami, którzy pana pułkownika Dąbrowę prosto z łóżka przywieźli tu.

Co dalej, — z władzą?...

Nie dać rozkraść dobytku.

Oni nie dadzą — myślał Dąbrowa, patrząc na sprawnych oficerów. Po tylu latach obcej służby dorwali się własnego chomąta. Byle im tylko mocno poobcierać szyje, — bodaj do krwi.

Wzgarda go przenikała dla tego posłuszeństwa. Nie śpieszyć się, — jeden na placu jestem, — czekać. Kilku spleśniałych tłuściochów w improwizowanym rządzie, — to przecież głupstwo.

Oznaczył termin następnej odprawy — i został sam.

Od czasu, gdy sypał z siebie te rozkazy, miał wrażenie, że sam odbywa się we wszystkim, co się dzieje. I wściekłość go ogarniała!

Bo wszystko działało się, jakby nic więcej nie umiał wydać na miasto, — prócz tej starzyzny wojennej.

Tymczasem już od tylu miesięcy i czasów ułożył sobie całkiem inne porachunki... Terazby tylko podkreślić... I łączną sumę krzywdy strącić na wszystkie łby. Plan prosty: Równość, sprawiedliwość, — odwet!

Wykonanie?

Zakładał sobie, że wykona... Nastraszyć stare burżujskie wieprze. Razem z nimi wojsko sprzęgnąć przysięgą. Samemu stanąć na czele wojska. Potem wieprzów do rzeźni...

Tu mu właśnie wadziła pętanina zaprzysięgłych spiskowców z Barczem, gdzieś tam, niby ślepa kiszka ukrytym. Z tą tradycją, z tym legendarnym sosem...

Dąbrowa podszedł do okna.

Wieczór zapadał. Cienki blask wilgoci ślizgał się po bruku. Przed odwachem, niby gromada czarnych grzybów, tkwiła ciżba rozpiętych parasoli.

— Co tam znowu? — odwrócił się.

W drzwiach ukazał się Rasiński. Szedł na środek pokoju tęgim, żołnierskim krokiem. Wyprężył piersi, opięte starym mundurem, siedzenie podebrał pod siebie i, szary ze wzruszenia, z oczyma w pułkownika utkwionemi, meldował się.

— No więc co? — mruknął Dąbrowa. Patrząc na rozplomienione oczy Rasińskiego przypomniał sobie, że trzeba, aby koło tego nowego czasu zrobiło się też jakież opowiadanie,

opowieść, tradycja.

— Potrzebne. Coś z punktu widzenia przyzwyczajęń i życiorysu. Naprzykład, że Piotr Wielki mógł jadać kielbasę z kapustą. Albo że Cezar Borgia był pod koniec chory i śmierdział. Coś, dzięki czemu potem człowieka nauczyciel w szkole trzcina po oleodruku głaszczę, a ludzie boją się zaczępić przez całe pokolenia. Ten kurz, — mgła, — tradycja, — piach w oczy...

— Co pan wiesz o Niemcewiczu?

— Napisał Śpiewy historyczne, był adjutantem Kościuszki.

— Widzi pan — będziesz pan moim... Oficerem ordynansowym. Też mamy czasy ciekawe i też jest o czym pisać. Jakże się wam to wszystko podoba?

— Tak właśnie, jak pan pułkownik mówił wtedy, w kawiarni. I — samo korek wysadziło. Teraz rzeczywiście jeden może zostać włosem na łydce, drugi malekułą. Całe życie stoi otworem.

— Niby, jak stoi otworem? Ze co? Ze znowu będziemy na fabrykanta robić, — na dwór harować?... Że znowu — jacyś obcy z nożem na nas, — my na obcych?

— Tak jest, panie pułkowniku. Już podobno Ukraińcy na Przemyśl idą. Ale teraz my sami niesiemy odpowiedzialność za każdą cegłę, kamień, za każde łajno nawet, jeżeli pan pułkownik łaskaw!!

Dąbrowa wzruszył ramionami. Bo jeżeli tak samo zgadzał się Kościuszko z Niemcewiczem?... Kazał sobie towarzyszyć na miasto. Pragnął zobaczyć, jak się odbywa życie, od sześciu godzin pozostające w jego władzy.

Ale, gdy idąc ku Rynkowi, spostrzegł szyldy firm, znanych oddawna, głębokie sklepy za mętnymi wystawami, kute drzwi jakiegoś banku — zawahał się.

Czy można za jednym zamachem, nie znając wszystkich cyfr, ilości narodzin, zawieranych małżeństw, rozwodów, przyrostu stanu bydła, liczby zgonów, różnych tabel statystycznych i przemysłu, — czy można za jednym zamachem zmienić wszystko?!

— Cały Kraków tu stoi od rana, — objaśniał Rasiński, — i płacze ze wzruszenia.

— Ze go ta heca tak tanio kosztuje?...

Na Rynku trwało nieustanne przemówienie. To w tej, to w owej stronie amfilady odwachu zjawiał się młodzieniec z kokardką, spieniona działaczka, czy też weteran osiwiwały.

Wznosili ręce do nieba i wykrzykiwali gromko na cześć minionej niewoli, oraz obecnej wolności.

— Ale psiakrew — zżymał się Dąbrowa — tej kompanji służbowej na pewno nikt tu zreć nie dał i nikt o tem nie myśli.

Jacyś studenci poznali pułkownika. Ciżba ludzka poniosła go bliżej do krat. Ciepłe chwyty owinęły mu nogi, wparły się w pośladki, wzniosły w górę ku barwom sztandaru.

Jakaś staruszka wołała: Niech żyje naczelnik nasz, — niech żyje.

Przez sekundę uległ Dąbrowa ogromnej rozkoszy pochlebstwa.

Gdy w podrzucie mijał balaski odwachu, przeleciało mu przez myśl, że jak Kościuszko, powinienby sobie obmyśleć jakiś strój osobisty. Może burkę sławucką? Oraz, że kto wie, czy

z wysokości tych ramion nie byłoby najlepiej wrzasnąć prawdę:
— Równość, sprawiedliwość — odwet!

Zazdrosna, lękliwa zgroza zdusiła ten zamiar: — Nikomu nie mówić — nikomu...

W miarę, jak go huścili, puchło Dąbrowie w zaciśniętych ustach grube, twarde przewisko.

— Bydło, bydło — myślał z goryczą za swych obywateli.

Krótkie przebywanie w ciepłych objęciach entuzjazmu potwierdziło pułkownikowi jego dotychczasowe teorie.

Co zrobisz na czele czarnej masy, — twoja rzecz. Narazie jak najwięcej tradycji, — piachu w oczy.

Muszą zaraz iść przykłady na rządenie, na hart, na srogość, sprawiedliwość...

Przedewszystkiem postanowił surową małomówność.

Wszędzie pokazywał się tradycyjnie chmurny.

Przez koszary starego pułku legjonów, do którego zbiegły się wybiórki i kaleki i bohaterzy, gdzie ludzie na deskach spali, nic nie jedli, tylko się wciąż sposobili i rychtowali, — przeszedł, obdzielając żołnierzy spojrzeniem złego psa.

Kiedy dowództwo twierdzy przyjmował od Austriaków, to takie prztyki powietrza dawał zdenerwowanym nosem, że generał-ekscelencja przelewał się z poręczy krzesła na poręcz parę minut, nim znalazł równowagę.

Srogość, małomówność, — zaś duchowo, — burka sławucka, rodzaj chmury dookoła...

Kiedy znaleźli się na lotnisku, w obliczu chudych aparatów, obmacał kosmatą ręką gładziutkie śmigły i pogardliwie machnął przed oficerami szpicrutą.

Wynalazł sobie swoje własne pioruny w spojrzeniu i ostry naczelniczy chód.

Kiedy przyszedł tym chodem na czele świty do składów obuwia, mundurów, prowiantury, między białe brzuchy nieskończonej ilości worków, — wykrzyknął krótką mowę o złodziejach.

— Złodzieje — jako czerwy!

U siebie w komendzie „podciągał” srogo oficerów, którzy „rozbebeszeni” „jak żydowskie mamki” siedzieli po trzy doby przy aparatach, łącząc się z prowincją i rozkazując w imię nowej „dąbrowskiej” ojczyzny.

Trzeciej nocy tych rządów poczynił pierwsze kroki na drodze swego planu. Mianowicie pchnął Rasińskiego na miasto i zakazał wracać bez domniemanych przedstawicieli przyszłego rządu.

Rasiński wyciągnął z łóżek trzech wielkich przedstawicieli: handlarza win, burmistrza i wpływowego delegata z Warszawy.

— Istne porwanie — zaczął Dąbrowa, gdy zasiedli na aksamitnych pufach dowództwa twierdzy.

Dygnitarze w jesiennych płaszczach sapali ciężko, tocząc przekrwionym wzrokiem po salonie.

Dąbrowa skinął, Rasiński, trzasnąwszy obcasami, wyszedł.

Panowie zawstydzili się i przestraszyli zarazem tak wybornego posłuchu. Zapalono papierosy.

— Uważam za swój obowiązek — ciągnął Dąbrowa — uświadomić panów, co do stanu wojska. Co do stanu umysłów... Mamy do czynienia z dawnym elementem regularnej armji i z legjonowym. Na dopływ nowych sił, czyli na pobór, liczyć nie można. Musi się zatrzymać stare roczniki. Zwracam, panowie,

uwagę, że to się nazywa roczniki, ale to są już tylko ludzie!...
Ojcowie, mężowie, bracia..

Był szczerze wdzięczny nauce dogmatyki, która go tak do wywodów zaprawiła.

— Otóż ci ludzie, jak wszyscy inni, działają przez pobudkę myśli. Na to nie może pomóc żaden mundur. Więc, — co żołnierz myśli? Nie nasz legjonista, bo ten, jak wiadomo, ma zawsze czerwono w głowie. Ja sam byłem legjonistą! Tu nie chodzi o arystokratę broni, ale o czarną masę. Co żołnierz myśli? Ten czarny murzyn?... Otóż ten żołnierz patrzy na wschód, panowie... ku Moskwie. Ma tam przykład, panowie.

Przerwały się w pułkowniku szorstkie upusty słów i bryznęły na pokój:

— Żołnierz nie chce już niczego pilnować! Zostawia przy budzie karabin i odchodzi!! Nie chce nikomu służyć. Sobie też nie! Powiada: Poniewieracie Leninem za to, że się całemu światu wypowiadał? Bijecie w mordę za to, że prawdę mówi? Żołnierz powiada: Szkoda mego ścierwa!!... Co tu?... O patryjotyzmie? Szkoda mego ścierwa! O granicach? Szkoda mego ścierwa!!... O Bogu? Szkoda mego ścierwa!!...

Z głębi piersi, z brzucha, ze wszystkich wspomnień, z głupich czasów sztuby, gdy głodny przez okna bursy patrzył na tych tuzów, jak w kontuszach nosili baldach przed Bożem Ciałem, z poniewierki seminaryjnej, ze wstydu chłopskich rodziców, z anatemy kościelnej, z ożenku cywilnego przez adwokata żydowskiego, z wojażów współdzielczych za mlekiem i krówską rasą czerwoną, z całego ciągu wojny szły Dąbrowie te słowa.

Dygnitarze zatrzęśli rękami. Odgłos grubych, miękkich dłoni pętał się niemrawo w nagłej ciszy salonu.

— No więc co? — zakończył tyradę pułkownik.

Handlarz win zmarszczył popękane podgardle. — Możeby zwiększyć żołnierzom dzienne racje?...

— Jakieś lepiwo musi się przecież znaleźć — westchnął naukowo burmistrz.

Obu kolegów ogarnął czcigodnym spojrzeniem delegat Królestwa.

Wzrok delegata, pociągając solidarne spojrzenia obu tuzów, szedł z wyrzutem wzdłuż postaci Dąbrowy w górę, aż zatrzymał się na wiszącym dotąd ponad biurkiem portrecie cesarza.

Koronowany zuch, w polowym mundurze, z wolem złotego runa pod szyją, z marszałkowskimi szankrami gwiazd na piersiach, szklaną gałką źrenicy pobłażał tym spojrzeniom.

Dąbrowa wyciągnął proroczo rękę w stronę portretu. — Tego lepiwa już nie stanie, moi panowie...

— Ale, czy wódz polski, nasz własny dowódca nie zastąpi autorytetu, który...

— Oczywiście, że zastąpi. Należy w tym celu.

Na łopatkowych palcach jął to pułkownik zaginać wyraźnie, jasno, podsuwając dygnitarzom szczegóły wysoko pod dziurki od nosa. Rzekłbyś, — do powąchania.

— Wzmożenie popularności wodza, moi panowie. Na tle tradycji. Do czasu rozumne unieszkodliwienie wszystkich zamachowców legjonowych. Wtedy, — jako lepiwo, — przysięga...

— Komu? — krzyknęli razem senatorowie.

— Narodowi.

— A jeżeli naród narazie nie gotów?

Dąbrowa rozłożył ręce beznadziejnie. — To narazie wodzowi. Poproś mnie! Bez jakiejś obroży, moi panowie, daleko nie pociągniemy.

Rozpoczęli przychylną dyskusję, którą Dąbrowa ożywił, bo kazał podać jeść.

Kapusta z kiełbasą, — jak Piotr Wielki.

Żeby zaś wielkość mogła się przykładowo poufalić z dobrocią, przypomniał służącemu o kolacji dla porucznika, co tam w poczekalni siedzi.

Rasiński wziął się ze szczerą ochotą do kiełbasy i kapusty, przesianej tu i owdzie skrawkiem słoniny.

Jadł, jak cham po ciężkiej robocie, nadcinając scyzorykiem chleb w poręczne do przełknięcia klinki. Grubą skórę kiełbasy z trzaskiem rzucał do kosza na złość wszystkim pinczerom austriackim, które tu tyle lat po wszystkich kątach paskudziły.

Do pokoju wszedł Pyć.

— Tyś słyszał, co oni tam gadają? — wyciągał szyję z obszernego kołnierza munduru.

— A co? — Jem kolację.

Pyć usiadł na fotelu, podkurczył nogi, ręce schował pod pachy. Z głową pochyloną na ramieniu zastygł, zakrzepł, niby przydrożna kupka błota.

— Toś nie słyszał?!

— Nie podsłuchuję.

— A ja owszem. Te durne Austriacy nie były wcale takie durne. One ci miały w gabinecie szefa sztabu aparat, który daje wszystko, co się mówi w pokoju dowódcy.

Całą rozmowę Dąbrowy o przysiędze powtórzył Rasińskiemu

cichym, pokątnym szelestem, którym ratowali ojczyznę od tyłu lat.

— A my wobec tego?! — oburzył się Rasiński.

— My, — przedewszystkiem pysk na kłódkę. Po drugie: Dąbrowa nie wie, że przejąłem już od Austryaków wszystkie papiery ich szpiegowskiego biura. Tam ci jest łajna, — wystarczy na wszystkich współników Dąbrowy! Po trzecie.

Pyć wyciągnął z kieszeni gruby zwitek telegraficznych meldunków.

— Weźmiesz to... Oni idą — ci Ukraińcy. To fakt. Ale my zrobimy z tego koniec świata. Będiesz od dzisiejszego wieczora ryczeć z Agencji Telegraficznej jak dziki osioł na całą Polskę! We wszystkich depezech! Potrzebujemy teraz koniecznie krzywdy. I krwi... Jest w Przemyślu. Niech Dąbrowa sformowane jednostki legjonowe pcha na Przemyśl. Uzyskujemy naszą krzywdę, krew wroga, wreszcie Barcza, który się tamtędy przedziera... No i kompromitację komunistycznego Dąbrowy, który rozpocznie — wojnę patriotyczną...

Pyć zeskoczył z fotela i wyciągnął się, tężąc grzbiet półokrągło, jak kot.

Już na drugi dzień przy referacie prasowym nie mógł się Dąbrowa dość nadziwić. Gazety aż trzeszczały od najazdu, rozpacz, pobudek, wezwań.

Pułkownik jeździł palcami po podkreślonych zapobiegliwie przez Rasińskiego ustępach, gwałtowniejsze słowa przepoławiał paznogciem.

— Tak się wam bardzo pali? — spytał wreszcie.

Żal mu bowiem było rzucać te ostatnie legjonowe strzępy

w błahy ogień. — Daj mi tu Pycia. — No, skąd to wszystko bierzesz Pyć, co ja tu widzę w gazetach?

Pyć jął wyciągać ze wszystkich kieszeni munduru małe rulony depesz.

Kalkulowało się to w głowie pułkownika najkorzystniej. Wyprawa ukrzepi popularność. Odprowadzi niepożądany element na front. Jedno tylko było bolesne: Że gdy stanąłeś przy władzy, zaraz ze wszystkich stron we wszystkie drzwi pcha się to zamówienie na krew.

— A cóż my tam wyślemy, Pyć? — pytał, chcąc, by Pyć sam wskazał swych towarzyszy.

— Co pan pułkownik rozkaże.

— Mogę tylko to wysłać, co jest gotowe. No, Pyć, co?...

— Legjoniści.

— No więc co?! — fuknął obiema dziurami Dąbrowa.

— Jak pan pułkownik rozkaże.

— Owszem rozkażę — wrzasnął Dąbrowa — rozkażę, żebyście się raz moresu nauczyli!!!

Rad był tej robocie, dzięki niej bowiem uroczystości połączone ze wzmożeniem tradycji nabierały pożądanego koloru.

A było tego zagniatania tradycji...

Dziś na Wawelu ogólne przyklękanie i krok „wodza Salvatora” pod tureckimi dywanami Sobieskiego. Jutro na kamieniu Kościuszki powitanie bataljonu warszawskiego.

Jeszcze więcej pienił się nazajutrz, gdy pod Komendą Twierdzy tłum go znów na ciepłe barki wziął i w zemście o Przemyśl obnosił przed żydowskimi sklepami.

Poczem siwe tuzy w bekieszach ziemiańskich zastąpiły mu drogę delegacyjnie, z prośbą o ratowanie rubieży, gdzie ziemica odwieczna, — mać. I łęgi prastare przemyskie!

Dąbrowa wziął z sobą rozśpiewanych i wystraszonych ziemian. Do swego gabinetu przez strażę przeprowadził i przez warty, aby się bodaj rękawem o grozę armji otarli.

Pod portretem cesarza jeszcze raz wszystkich związał tajemnicą i odsłonił prawdę: Że wyprawa szykuje się. Tylko jeszcze nie wie żołnierz, w imię czego ma umierać... Żeby, póki co, jakaś przysięga może ustanowiła te rzeczy. Niech przysięgną wodzowi Dąbrowie.

Na co, dzwoniąc złotymi łańcuszkami szerokich brzuchów, ziemianie zgodzili się bogobojnie.

Trzeba to było rozegrać bardzo przebiegle, mimochodem niby a z powagą. Bo to będzie gra nie o ludzi, którzy tylko rozkaza, lecz o chłopów, co karki mają dać i żeby z tego zadowolenie było do ostatniej wdowy, nad mydlinami w podwórzu rozgibotanej.

Nazajutrz tedy postanowił Dąbrowa nie wracać do gmachu dowództwa. Żeby go tam jeszcze raz przed żydowskimi sklepami obnosiła gawieź na rachunek Przemyśla?

W domu przebrał się w „cywila” na znak, że nie rządzi — i niech się wszystko wali...

Żony nie było. Kazał podać kawę. Nie wróci do rządów, przeczeka, niech go proszą... Do tego czasu zajmie się życiem domowem. I tak go tu delegaty sobacze znajdą, jak króla Leszczyńskiego na wygnaniu, — wzór pożycia.

Kawa się spóźniała. Poszedł do pokoju chłopców, poświecić

im trochę przykładem.

Troje małych dzieci pod opieką ordynansa raczkowało po kątach. Dwaj starsi siedzieli na oknie i grali w scyzoryki.

— A lekcje? Czy umiane? Co zadane? Odkąd — dokąd?

— Wszystko umiane, — odpowiedzieli w popłochu. — Botanika, protocooccus virilis, — algebra wyciąganie pierwiastka. Pozostaje religja i niemiecki.

— Niemiecki już się nie liczy, — śmiał się z triumfem starszy syn, — religja głupstwo...

Tych właśnie przedmiotów uczeplił się Dąbrowa. Botaniką brzydził się, pierwiastków nie umiał.

— Co to znaczy, że niemiecki się nie liczy? Czy to pan profesor wam powiedział?

— Nikt nie powiedział, ale...

Podnieśli obaj głowy do góry.

— Już się skończyło z niemieckim, — zapewnili go poufnie.

— Co to znaczy „skończyło”? Mów, co zadane.

Chłopcy przycisnęli się do siebie, patrząc na ojca blademi oczyma.

— Wydawaj jeden z drugim, co umiesz!!!

Wziął ich między rozległe kolana, sfrontował ku sobie i czekał, zaglądając do książki.

Malutkie żebra chłopców przesunęły się niespokojnie pod dotknięciem ojcowskiego uda.

Nakoniec starszy białymi jak papier wargami rzekł:

— Tatuś ma Przemyśl brać, — a my się mamy niemieckiego uczyć?...

— Gadaj zadane, nie mędrkuj!!

Zaczęli z trudem jakieś wiersze.

Niemiecki, religja, — stracone posterunki. Ale, — obowiązek. Ułożyło się Dąbrowie, że on i oni i cały świat tak samo cierpieć musi na straconych posterunkach.

— Nie umiecie! — ryknął. — Spuszczają portki.

Chłopcy uderzyli w płacz.

A kiedy ich portczęta obleciały, wyłożył jednego po drugim i zerznął na goło, starszemu ośm, młodszemu pięć, paskiem swych naczelnicznych spodni.

Poczem nieuspokojony i zły wśród wrzasku wszystkich pięciorga przeszedł do kancelarii.

Mija już prawie pół dnia, a nie wzywają. Chodziłaby maszyna władzy sama?...

Usiadł przy biurku i jął pracować nad swym podpisem. Aby szło od ręki i aby się kończyło krótką błyskawicą, na co musi wystarczyć atramentu od jednego zamaczania.

Dopiero wieczorem zacharczał pod bramą samochód.

Pokorna radość przejęła Dąbrowę, ale poznać po sobie nie dał, — za żadne skarby.

Pyć się meldował z ostatnimi rozkazami do podpisu. I że bataljony legjonowe, idące na Przemyśl, czekają pożegnania.

— A wy, barany, czemu się tam tak rwiecie? — rypnął Pułkownik, podpisawszy wszystkie „kawałki”.

— Mamy rozkaz — złożył się składnie Pyć.

— Czyj?

— Pana pułkownika.

Dąbrowa zarzął na cały pokój. — Macie rozkaz. Wam się zdaje, że wy tam Barcza znajdziecie? Wam się zdaje, że jego żelazne ręce... I jak to mówił Rybnicki? Tradycja. Pielgrzymstwo. Pytam się, ile set lat będzie można rznąć baranów za tym samym szlachtuzem? Widzisz bebechy swego poprzednika, brodzisz w jego krwi i myślisz, że z ciebie tak samo bebechów nie wyprują?

— Mamy rozkaz pana pułkownika.

Dąbrowa wyciągnął pięści nad jajkową głową Pycia i wrzasnął:

— No to się buntuj, baranie jeden z drugim. A nie, żebym was, jak ciasto zagniatał, — fuj!!

Pyć odpowiedział wiotkim uśmiechem posłuszeństwa.

— No to jedziemy. — Pułkownik z obrzydzeniem strzepnął palce nad papierami.

Usadowili się w samochodzie oględnie, by się nawet brzegi płaszców wzajem nie ocierały.

Tylko Rasiński gadał wesoło i „żłopał uniesienie chwili”.

— Tak pan to żłopie, że pojedziesz pan z tą wyprawą, publicystykę do niej wyczynić. Całe zwycięstwo opisać, — łupy.

Węgiel, kretowisko, żona, korekta, — tak — odrazu zdmuchnięte... Ale nad wszystkimi myślami rozpięła się głęboka radość czynu, zwarta i pełna, jak niebo tej nocy wyniesione wspaniale nad miastem.

Na dworcu przywitano pułkownika uroczyście.

Któryś z oficerów zauważył, że wojsko ma teraz wodza po cywilnemu, — jak prezydent Francji. Duch nowych czasów.

Pociągi pancerne odeszły już. Tylko jeszcze na bocznych

torach stały długie towarówki z piechotą. Wiatr między kołami świszczwał przeciągle. W ciemnych wagonach słyhać było ugniatanie się przesianej żelazem masy ludzkiej.

Dąbrowa był przekonany, że wyprawa nie uda się, ale w tej chwili zajmował go więcej widok Jabłońskiego.

Koniec Wersji Demonstracyjnej

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok

